

Bohaterzy na uniwersytetach polskich

Jak żyją najbiedniejsi studenci w Warszawie

W zeszłym roku akademickim Koło Socjologiczne przy U. J. P. rozpisało wśród wszystkich studentów warszawskich anonimową ankietę, mającą wyjaśnić z czego się studenci utrzymują, jakie mają warunki materialne i mieszkaniowe, co ich interesuje i t. d.

Ogólnych wyników ankiety jeszcze nie ogłoszono. Ale pozwolono mi przejrzeć sto odpowiedzi. Na pytanie, z czego się studenci utrzymują, 53 napisało: z pomocy rodziców, względnie rodziny, czy opieki, 42 z pracy zarobkowej, 3 z przyznanych im stypendjów, a jeden napisał: „Szukam pracy. Narazie nie mam żadnych środków do życia”. Podobno taki procent utrzymuje się wśród innych odpowiedzi. Wynika z tego, że 1 proc. spośród około 18.000 studentów w Warszawie, zatem 180 studentów marzenie na zimnie, nie mając gdzie się schronić, sypia Bóg wie gdzie i przynajmniej głodem.

Rozmawiałem z jednym z takich bezdomnych, p. Władysławem N., studentem drugiego roku prawa.

KOLPORTER GAZET

— Rodzice moi — zaczyna swoją smutną historię — mieszkają pod Łomżą. Pochodzą z Kurpiów. Mój ojciec jest robotnikiem w majątku. Po ukończeniu gimnazjum, przyjechałem do Warszawy, by zapisać się na prawo. Tu dowiedziałem się, iż trzeba zaraz na wstępie zapłacić „manipulacyjne” i za badanie lekarskie 30 zł. Zdecydowałem się zapłacić, mimo iż zostało mi niepełne 2 zł. na życie. Do domu nie miałem poco pisać, bo i tak rodzice nie mogli mi nie przysłać. Nie miałem na nocleg, więc sypiałem na Dworcu Głównym, a w dzień chodziłem od domu do domu, od mieszkania do mieszkania, szukając pracy w zamian za mieszkanie z utrzymaniem. Nigdzie nie mogłem nic dostać. Brali mnie może za złodzieja?..

Zrezygnowałem wreszcie z utrzymania, chciałem mieć bodaj tylko dach nad głową. Ale i to się nie udawało, 36 dni chodziłem, 36 nocy spędzałem na Dworcu, na ławkach w Alejach i w krzakach Saskiego Ogrodu. W końcu, gdy już zupełnie siły mnie opuszczały, trafiłem na pocztową dozorczynię — kamienicę przy ulicy Długiej, która za pomoc przy uprzątnięciu domu i trotuaru pozwoliła mi zamieszkać u siebie i, choć o to nie prosiłem — dawała mi jedzenie.

Potem zawisło nade mną jak miecz Damoklesa — czesne. Jeśli bym nie zapłacił, nie zwolnili, straciłbym rok. Bo skąd wziąć 135 złotych? Ta niepewność była dla mnie straszna. Ostatecznie 15 listopada odetchnąłem: zwolniono mnie z opłat.

W zimie zdołałem się przenieść do bursy Bratniej Pomocy, na ul. Marszałkowską 127. Dostałem darmo obiady, z których korzy-

stałem i dzisiaj, a za mieszkanie płacę 3 złote miesięcznie. Po tej zmianie życiowej zdawało mi się, że dostałem się do raju...

— Z czego płaci pan te trzy złote na bursę?

— Sprzedaję gazety, „Wieczór Warszawski” i inne. Dziennie sprzedaję przeciętnie 20 numerów. I to jest mój zarobek. Jeszcze nie mam wprawdy w tym fachu, ale jest wielu chłopców, którzy umieją sprzedawać po 50 numerów dziennie. W przyszłości i ja dojdę do tej wprawdy. Często rozmawiam z papierosami.

— Dziękuję. Tak dobrych nie pałę, bo potem inne wydadzą mi się świątyniami.

(Miałem „Rarytasy”).

— Wszystko byłoby dobrze, gdy by nie to czesne! Złożyłem podanie, taksamo jak w zeszłym roku, o zwolnienie mnie z opłat, ale odpowiedź otrzymałem — dopiero 15 listopada. Jak pan myśli, czy mnie zwolnią?

Zatrzepotało we mnie serce. Od powiedziałem, że chyba napewno, bo coż innego mogłem powiedzieć? Rozmowa wyczerpała się. Nie pytałem o jego zainteresowania, gdyż i tak wiedziałem, że żyje tylko myślą, czy będzie mógł dalej studiować. Nie pytałem go również o zdrowie, bo przerażała go chudość, ceglaste wypieki i ustawiczny suchy kaszel mówili doświadczeni, że ten żelazny Kurp — cierpi poważnie...

KANDYDAT NA DUCHOWNEGO.

Inny student, J. B., Poleszuk spod Mankiewicz, prawosławny, już od najmłodszych lat utrzymuje się sam:

— Gimnazjum skończyłem — opowiada — w Kobryniu i zjechałem do Warszawy, by zacząć studiować teologię prawosławną. Po zapisaniu się na Uniwersytet zostało mi tylko 10 złotych. Za 15 zł. wynajmąłem kąt przy biednej rodzinie rzemieślniczej na Pradze.

Rozmowa mój — podobnie jak i poprzedni, nie mógł znaleźć pracy, więc dał ogłoszenie do jednego z dzienników: „student, sierota bez dachu nad głową, szuka ko-

repetycji wzamian za mieszkanie”. — W ten sposób — ciągnie B. swoją opowieść — dostałem się do pewnych pułkowników. Miałem dwóch chłopców; jeden chodził do piątej klasy gimnazjalnej, a drugi do szóstej szkoły powszechnej. Uczyłem ich cztery godziny dziennie. Z młodszym chodziłem codziennie na spacer, a rano o godz. 6.30 gimnastykowałem się z nim pod radją komendy kpt. Dobrowolskiego. Po dwóch miesiącach poprosiłem panią pułkownikową o śniadania i kolacje za moją pracę. Spotkałem się z odmową, wobec czego zwróciłem się do jej męża, ale usłyszałem tylko, że jeśli dach nad głową uważam za zbyt małe wynagrodzenie, to sobie mogę poszukać czego innego.

Rzuciłem posadę, bo dostałem się do bursy. Zaciągnąłem w „Bratniaku” pożyczkę i zapłaciłem mieszkanie do końca roku. Na wakacje dostałem kondycję, a zaoszczędzone pieniądze użyłem na spłacenie długu. Mieszkanie zapłaciłem dzięki nowej pożyczce. Żyję z darmowych obiadów, jakie codziennie dostaję w bursie. Kolacyji zasadniczo nie jadam, czasem tylko, jak mi głód zbyt doka, „rekwiruję” kawałek chleba kłóremu z kolegów.

Chciałem się dowiedzieć nazwiska pułkownikostwa, którzy odmówili śniadań studentowi, lecz dyskretny J. B. nazwiska nie wyjawia.

ŁÓZKO OBOK ŁÓZKA.

Odwiedziłem bursy, stanowiące schroniska dla najbiedniejszych studentów. Jest ich dwie: jedna Stowarzyszenia „Bratniej Pomocy” S. U. J. P., a druga Akademickiej „Bratniej Pomocy”. Bursy SBP mieści się w gmachu ofiaro-

wanym przez ś. p. Tripenbacha, przy ul. Ceglanej. Jest to spora kamienica, mająca sto kilkadziesiąt pokoi mieszkalnych, urządzone bardzo praktycznie. W pokoju może mieszkać maksimum czterech studentów, minimum dwóch. Opłata wynosi 15 zł. miesięcznie z obiadami. Najbiedniejszemu przyznaje się ulgi i pożyczki na komorne. Druga bursza mieści się na piątym piętrze olbrzymiej kamienicy przy ul. Marszałkowskiej 127. Idę po schodach: 20 stopni, 40, 80, 114 — stop. Dziewiąty numer, biały sztyldzik. Dzwonię. Bronzowy obrąpiany prostokąt drzwi uchyla się:

— Pań do kogo?

— Czy mogę się widzieć z kierownikiem bursy, panem Jagielą?

— Proszę, jestem.

Wchodzę do przedpokoju. Przy ścianach stoją łóżka. Powietrze ciężkie. Dowiaduję się, że bursza ma 5 pokoiów i kuchnię. Z mie-

szkania korzysta 25 — 30 studentów. W jednym pokoju śpi 8. Płacą po 3 zł. miesięcznie. Niektórzy korzystają z darmowych obiadów. W jaki sposób zdobywają studenci pieniądze, by móc jeść kolacje i śniadania, płacić bursę, jeśli z domu nie im nie przysyłają? Rozmawiałem na ten temat z kilkoma z nich.

GONIEC.

A. S., student pierwszego roku prawa, mający posadę gońca urzędu skarbowego, wysoki chudy blondyn opowiada:

Roznoszę listy płatnicze urzędu skarbowego. Za odniesienie jednego listu otrzymuję 7 groszy. Dziennie załatwiam ich 25 — 30, co daje mi miesięcznie około 60 zł. Ale po każdym dniu jestem tak zbiegany, że nogi pieką mnie, jak ogień. Stale, codziennie na piętro i z piętra, w górę i w dół. A odbiorca, jak zobaczy nakaz płatniczy, to jeszcze nieraz wymyśla. Czasem człowiek się uśmieje z tego, a czasem szewcka pasja ogarnia!

Wchodzi do pokoju inny student i nagle cofa się. Mój znajomy wraca go pytaniem:

— Przyniosłeś?

— Tak.

Przy mnie rozwija zawiniątko. Są to dwa kawałki grubej skóry:

— Nie mam pieniędzy, więc sam sobie robię zelówki.

— Jaka jest największa bolączka panów?

— Czesne.

— O czym panowie najczęściej rozmawiają?

— O stypendjach, o czesnym i o tem, co będziemy jedli na kolację.

Nowoprzybyły wtrąca:

— Nieprawda, zawsze wiemy co będziemy jedli. — Rano chleb, w południe pieczywo, a wieczorem razowiec.

Biedni studenci nadrabiają wiśielczym humorem...

Student R. S. z Kieleckiego, na pytanie, z czego żyje, odpowiada:

— Z nadziei.

— ?

— Mam nadzieję, że dostanę stypendjum w wysokości 120 zł. miesięcznie.

— Coby pan zrobił, gdyby dostał to stypendjum?

— Zaczęlbym żyć po studentku — odpowiada z błyskiem w oczach. Wynajalbym sobie pokój za jakieś 30 zł. miesięcznie, jeździłbym codziennie do Domu Akademickiego na gimnastykę i chodziłbym do teatru.

— A teraz, z czego pan się utrzymuje — przerwywam brutalnie pajacznego marzeń.

— Mam korepetycję na Żoliborzu; placę mi 20 zł. miesięcznie.

— Czy należy pan do jakiejś organizacji?

— Dawniej należałem do „Legjonu Młodych”. Działam na boaterwie, o których mało kto wie, którymi mało kto się interesuje...

— A koledzy pana z bursy?

— Kilku należy do obozu narodowego, którego wpływy są u nas najsilniejsze.

Z. B.

ARTRETYZM powstaje skutkiem złej prze-miany materji. Stosujcie ziola H. Niemojewskiego

Warszawa, Nowy-Swiat 5. Żadajcie bezpłatnych broszur w aptekach i drogeriach

Na ekranach

„ANNA KARENINA” („BALTYK”)

Na czoło ostatnich premier — jeżeli pominąć „Sen nocy letniej” Reinhardta, o którym napiszemy osobno — wysuwa się zdecydowanie „Anna Karenina” — film amerykański, reżyserowany z dużą maestrią techniczną, a wykonaniem swej roli tytułowej przez Gretę Garbo zasługujący w zupełności na nagrodę, jaką zdobył na festiwalu filmowym w Wenecji.

„Anna Karenina” jest już trzecią wersją filmową powieści Tolstoj. Jeśli patrzyć na ten film o wysokich czy słowach filmowych walorach, jako na przebieg powieści, to niewątpliwie wszyscy się mający kult dla dzieła Tolstoj, doznają zawodu.

Istotnie film w swym „klimacie wewnętrzny” daleko odbiega od powieści, — z drugiej strony, samo założenie robienia przeróbek filmowych z powieści jest fałszywe. Albo reżyser niewolniczo trzyma się powieściowej akcji i marnuje film albo przetwarza powieść na język filmu i naraża na zawód tych, którzy oczekiwali ilustracji do przeczytanej książki. Nie jestem zwolennikiem takich pożyczek między różnymi dziedzinami sztuki, ale skoro już się to stanie, lepiej w filmie widzieć film, a nie dopatrywać się różnic między tą, a tą sceną, a tym i tym rozdziałem.

Z temi zastrzeżeniami — „Anna Karenina” stoi wysoko ponad poziomem przeciętnej produkcji. Trzy rzeczy zasługują na podkreślenie: gra Grety Garbo, kompozycja poszczególnych zdjęć i staranność reżyserji.

Film daje wiele przyjemności wzrokowej: gdyby w dowolnym momencie zatrzymać ruch taśmy, otrzymalibyśmy na ekranie artystyczną fotografię, skomponowaną, jako obraz. Talent Grety Garbo wzbudza podziw: kreacja nowa, pełna świeżości i subtelności umiaru. Koło lekceważą kino, niech pójdzie zobaczyć grę tej aktorki. Reżyser Clarence Brown, mający na sumieniu kilka nieudanych filmów, teraz dał wiele trafnych ujęć (świetna scena przed samobójstwem), zmiesza nych z kilkoma typowymi gafami (po czątki i zakończenie).

Partner Grety — Fredric March nie usprawiedliwia swej reklamowej sławy. Rola synka Anny Kareniny grał

Freddie Bartholomeu — ujrzymy nie długo tego zdolnego chłopca jako Dwidę Cooperfielda.

„RAPSDODJA BALTYKU” („EUROPA”)

Dobremi chcielibyśmy piekło wybrukowane. Film, zrealizowany przez L. Buczkowskiego potrosze daje tego przykład, ale, że w polskim filmie tak mało jest owych dobrych chęci, więc trzeba tej dancingowej „Rapsodji Bałtyku” wiele wybaczyć. Do wybaczenia więc jest: mylna obsada ról, nieudana rola Bałtyku, montaż gubiący tempo filmu, sztywność postaci, brak ruchu — ale tu lista się urywa i nie sposób wybaczyć pretensjonalnego partryjotyzmu, ani szablonoj erotycznej intrygi.

Powiew morskigo wiatru nie rozpedził dusznej, zatepłej atmosfery, w jakiej się nasze filmy obracają. Akcja mogła doskonale rozgrywać się na tle buduaru, a nie na tle morza. Może jest sztywnym dodatkiem, co ów dodatek tak pociąga publiczność, że z zapalem wita zdjęcia polskiej floty i polskich marynarzy i przymyka oczy na bzdurną intrygę.

Plenery Wywerki są bardzo ładne, niektóre momenty efektowne i żywe, ale nie odrazu można pozbyć się starych grzechów, to też np. sceny z bałtami na statku, sfilmowane w ciemnym atelier i z paroma zaledwie statystami raz banalem i niedołęstwem. Muzyka nieudana.

W zakończeniu — namawiamy Buczkowskiego na nową próbę i z radością będziemy ją okłaskiwać, gdy się lepiej uda.

„SZANGHAI” Z CHARL. BOYER.

Wśród wiadomości ze świata filmu warto zwrócić uwagę na zapowiedź filmu „Szanghaj” z interesującym tercetem aktorskim. Główną rolę gra w nim Charles Boyer, świetny partner Claudette Colbert z filmu „Świat urojony”. Partnerką tego prawdziwie inteligentnego i kulturalnego aktora będzie Loretta Young — ostatnio dała ona piękną kreację w „Wyprawach Krzyżowych”, jako żona Ryszarda Lwiego Serce. Trzecim z tej trójki jest aktor charakterystyczny Warner Oland.

Z plastyki

W Zachęcie, u Baryczków i w I.P.S.-ie

W Zachęcie, poza wystawą jubileuszową B. Madeyskiego, zabiegając na uwagę tylko kolekcja prac Edmunda Jerzego Kaniewskiego. Kaniewski jest uczniem prof. Pruszkowskiego, należy do „Łoży Malarskiej” i niektóre z jego obecnie wystawionych dzieł widzieliśmy na wystawach IPSU: „Łoży”. Obrazy Kaniewskiego to kompozycje o pokroju romantycznym, który się ujawnia głównie w doborze odpowiednich potemu pejzażowych motywów. A więc mamy tu skały, romantyczne zwały skały, dekoracyjne zakątki, gdzie z góry po kamieniach spływają, szmerzą kaskady, a w smugach wody majaczą jakieś nimfy. Drzewa są pogięte, sękate, przez łąkę kroczy para kochanków, zapewne z Wyspy Szcześliwości. Przez wszystko przewija się echo motywów kazimierzowskich.

Pejzaż o podobnym temacie stał się dla Kaniewskiego pretekstem do efektów fakturalnych,

czyniących nawierzchnię płótna plastyczną i chropawą. W tej lepiance i gruzłach farby, o kilku nawarstwieniach, kolory przepłatają się ze sobą, przeświecają jeden przez drugi, wzbogacając w ten sposób kolorystykę obrazu. Wydaje mi się, że Kaniewski w swoich, zresztą interesujących, płótnach często ucieka się do tych samych efektów.

Malarstwo A. Grabarza znajduje się w obecnej chwili na równi pochyłej. Coraz bardziej bezmyślna ekwilibrystyka pendzla, coraz większa przyjemniaczkowa tość i zez w stronę gustów najmniej wyrobionej publiczności, świadczą o chęciach niegodnych poważnego artysty. W ten sposób daleko się nie zajadzie. Co do mnie, wolę już widoki (Krzymieńca) Trzebińskiego. Skromne to, bez pretensyj, ale przynajmniej uczciwe.

Dobrze zapowiadający się w swoim czasie, J. Marylski nie ro-

bi obecnie żadnych postępów.

Wystawiają pozmam p. Anna Chamiec i Fr. Slugowski, rzeźbiarz. Zawód p. Chamiec jest mi bliżej nieznany, wiemy tylko na pewno, na podstawie jej wystawionych prac, że ze sztuką nie wspólnego nie ma. Obowiązek recenzenta każe mi jeszcze wymienić kolekcję rysunków R. Zerycha. Po takiej samej, kiedyś wystawionej, lecz znacznie lepszej serji, pozostały teraz resztki sosu, Zerych częstuje nas temi resztkami i robi przytem taką mi, jakby to była pieczeń.

Przypomnijmy sobie, urządzone przed rokiem, z dużym nakładem kosztów, wystawę Jana Wałacha, u Baryczków. „Odkrycia” dokonał p. Warchałowski. Gdy cokolwiek poważnych artystów wypowiadził się, co należy o tem odkryciu sądzić, nie pozostało — zdawałoby się — p. Warchałowskiemu nic innego, jak przyznać się do omyłki. Stwierdzenie, iż po pełniło się, tym razem, błąd, byłoby ładnym gestem ze strony „odkrywcy”, dobrze świadczącym

o jego odwadze cywilnej. Niestety, p. Warchałowski uparł się i postanowił brnąć dalej. Co tam opinia jednolita świata artystycznego i osób do wydawania sądu powołanych — on wie lepiej!

Gdy w katalogu wystawy Warchałowski straszyl nas wydaniem obszernej monografji o Wałachu, myśleliśmy, że na tych strachach się skończy, a do nie-rozumnego wydatku, marnującego grosz publiczny, tak skąpo dziś sztuce wydzielany, jednak nie dojdzie. Nic podobnego: fałszywe ambicje każyły p. Warchałowskiemu trwać przy swoim i monografja już leży w oknach księgarń.

Nie mamy oczywiście nie prze ciwko temu, by Wałachowi, w miarę jego zasług i zdolności pomagać, ale wydania o nim monografji w niczem mu nie pomaga materialnie, szkodzi moralnie (t. zw. niedźwiedzia przysługa) i jest prosto wyrzuceniem pieniędzy w błoto. Dość powiedzieć, że takiej i tak wydanej monografji nie ma nikt z najlepszych, najbardziej zasłużonych

dla sztuki artystów. Niema takiej dzieła o Chelmońskim, niema o Wyczółkowskim ale jest o... Wałachu, bo tak się p. Warchałowskiemu podobało. I podobało mu się niestety z pieniędzy nie swoich, bo jako nakładcy subsydiujący książkę figurują w niej: Fundusz Kultury i Sejm Śląski. Nadużyto dobrej wiary obu tych instytucji, z których pierwsza często z żalem musi odmawiać pomocy na najbardziej godziwe cele kulturalne, spowodu swego ograniczonego budżetu.

W czwartek ubiegły otwarto w IPS-ie wystawę pośmiertną młodego, przedwcześnie i tragicznie zmarłego artysty, Larischa. Jego ostatnie, wystawione obecnie, prace zapowiadały wielkiej miary malarza. Koledzy zmarłego wydają o nim książeczkę, opatrzoną 40 reprodukcjami jednorazowymi. Na reprodukcję wielobarwną, chociażby jedną, pieniędzy nie mieli (potrzeba 300 zł.), a to dopiero mogłaby dać pewne pojęcie o możliwościach malarskich Larischa. Zabrakło

PRZY POMPIE Z BENZYNĄ.

Rozmawiałem jeszcze z akwizytorami, którzy używają najróżniejszych sztuk, aby towar komus wepchnąć. Najwięcej ich, bo aż trzech, sprzedaje książki, bądź po mieszkaniach, bądź po kolejnych kawiarniach i restauracjach. Wszyscy robią wrażenie topielców, których fala przeciwności życia zalewa, a którzy wsty skich sił dobywają i zdrowie swe rujnują, byle dotrzeć do końca studiów.

Oprócz nich są i tacy, którzy zarabiają wcale nieźle. Jeden pracuje przy stacji benzynowej w okolicach Alei Ujazdowskiej. Jest zajęty 6 godzin dziennie i zarabia 150 zł. miesięcznie:

— Człowiek zabrudzi się od stóp do głowy i w zimej przyjdzie trochę marznąć, ale potem robota nie jest ciężka. Cała rzecz, by umieć zachęcić szoferów, by u nas kupowali benzynę. Inne stacje rozlewają po kilkaset litrów dziennie, a my parę tysięcy.

— Jak to robicie?

— O, to nasza tajemnica!

KONDUKTOR TRAMWAJOWY.

Inny jest konduktorem tramwajów miejskich i często jeździ na linii Nr. 6.

— Zgłosiłem się — mówi sympatyczny tramwajarz — do tramwajów miejskich. Byłem na praktyce, potem jeździłem jako dniówkowy, dostając 3 zł. 80 gr. za dzień pracy, a obecnie jestem konduktorem i mam przeszło 200 złotych pensji. Mogę kończyć Uniwersytet i pomagać matce.

— Czy to ciężka praca?

— Pracuję 46 godzin tygodniowo. Początkowo praca wydawała mi się męczącą, gdyż wymaga stałej uwagi i jest jednocześnie bardzo monotonna, ale po roku przyzwyczaiłem się. Znam bardzo wielu stałych pasażerów.

Student z uśmiechem opowiada, jak kiedyś robił pierwszy, czy drugi kurs popołudniowy i miał jeszcze mało pieniędzy w torbie, gdy nagle wsiadł jakiś pasażer i chciał płacić za bilet 20-złotówką. Gdy usłyszał, że konduktor nie ma reszty, nawymyślał ordynarnie wszystkich tramwajarzy od głupców i tępaków.

DOZORCZYNI DOMU.

Jedna studentka trzeciego roku romanistyki jest dozorczynią do mu przy ul. Wspólnej w pobliżu Kruczej. Nie chciała powiedzieć, ile zarabia.

Kończymy na tem nasz raport. Minęły czasy kiedy młodzież śpiewała „choć głodno i chłodno, żyjem sobie swobodno”. Swoboda z życia przyska... Na młodzieńczą lekkomyślność miejsca w życiu coraz mniej. Twarda walka o życie i o wiedzę, jednocześnie u niektórych młodych ludzi graniczy z wielkim bohaterstwem. Ciśnienie bohaterowie, o których mało kto wie, którymi mało kto się interesuje...

Takie czasy!

P. Jansen.